

Świat wirtualny a świat Obamy – niewielka różnica

31 stycznia 2014

Prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama wygłosił w Kongresie kolejne orędzie na temat sytuacji w kraju. W szóstym roku swej kadencji prezydenckiej zasygnalizował on miejsce Ameryki na świecie i opowiedział o tym, czego jej brakuje, aby stała się jeszcze lepsza. A także o tym, co on, Obama, zamierza zrobić dla ponownego wcielenia w życie „amerykańskiego marzenia”. Biały Dom przed tym wystąpieniem starannie robił aluzje co do tego, że to orędzie ma reanimować całą prezydenturę. Niby dawniej był jeden Obama, a teraz stał się zupełnie inny. Rankingi laureata Pokojowej Nagrody Nobla naprawdę spadły już do wielkości jego poprzednika republikańskiego – Busha-juniora. Niższe wskaźniki miał tylko Nikson, jednak upadek aż do tego stopnia byłby już niewątpliwą hańbą.

Złośliwi już sugerują, że o treści „przemówienia reanimacyjnego” 44. prezydenta można było dowiedzieć się na podstawie jego poprzedniego wystąpienia, gdyż prawie wszystkie niewykonane wewnątrzpolityczne inicjatywy legislacyjne dosłownie całą listą przeszły do tegorocznego przemówienia z poprzedniego orędzia. Natomiast inne inicjatywy są jeszcze starsze. Na potwierdzenie tego założenia gazety publikują cytaty z orędzi Obamy z lat 2010 i 2012. Natomiast część poświęcona polityce zagranicznej zajęła niewiele ponad pięć minut (całe wystąpienie trwało godzinę). Tak mało, że nawet tego komentuje.

Obama zapowiedział dla Ameryki „rok działań”, jeśli zajdzie taka potrzeba, nawet bez pomocy Kongresu.

Nawet zagroził Republikanom, że wyjdzie naprzód bez Kongresu, jeśli w dalszym ciągu będzie on stosować sabotaż wobec jego

inicjatyw ustawodawczych. Obama powiedział: „Nie będę czekać więcej na Republikanów w dziedzinie poprawy sytuacji gospodarczej kraju”.

Ameryka nie tkwi w jednym miejscu, i ja też nie zamierzam tego robić. Dlatego, jeśli będę mógł wszędzie i kiedykolwiek trzeba stawiać kroki w celu rozszerzania możliwości dla coraz większej liczby rodzin amerykańskich bez zatwierdzenia ustawodawstwa, będę to robić.

To oświadczenie zapowiada coś w rodzaju przestawienia się na „sterowanie ręczne”. Chociaż w tym także nie ma nic nowego. Prawie dosłownie to samo Obama powiedział w swym orędziu w 2012 roku: „Z Kongresem czy też bez niego, będę działać, aby przyczynić się do wzrostu gospodarki”.

Prezydent rzeczywiście ma możliwość wprowadzenia zmian do wielkości płac, do metod szkolenia zawodowego, do socjalnych programów wsparcia i innych za pomocą swych „dekretów wykonawczych”. Jednakże dotyczyć to może jedynie urzędników federalnych, czyli kilku tysięcy osób. Tymczasem liczba potrzebujących pomocy w USA wynosi kilkadziesiąt milionów.

Obama zapowiedział Ameryce wyjazd na Igrzyska Olimpijskie do Soczi i „mnóstwo złota”. „W przyszłym tygodniu zobaczymy potwierdzenie ideałów praw człowieka i demokracji, gdy drużyna Stanów Zjednoczonych wyjdzie w kolorach czerwonym, białym i niebieskim na stadion olimpijski i wróci do domu ze złotem. Żaden kraj na świecie nie osiągnął tego, co my robimy. W każdej kwestii świat zwraca się do nas nie tylko ze względu na wielkość naszej gospodarki i naszej potęgi militarnej, lecz również ze względu na idee, których bronimy oraz wysiłki, jakie stosujemy dla ich ugruntowywania.”

Nareszcie, Obama zapowiedział zamknięcie obozu więziennego na bazie w Guantanamo. Obama obiecuje to zrobić od czasów swojej pierwszej kampanii wyborczej w 2008 roku.

Słuchając przemówienia Obamy, świat musiał utwierdzić się w

przekonaniu, że – cytujemy: „Właśnie dzięki dyplomacji amerykańskiej i zdecydowanemu stanowisku udało się zapoczątkować „negocjacje w sprawie uregulowania sytuacji syryjskiej”, przystąpić do likwidacji syryjskiej broni chemicznej, osiągnąć porozumienie w sprawie rezygnacji z wykonywania irańskiego programu jądrowego. Podobne twierdzenia wyglądają – mówiąc oględnie – niezbyt skromnie. Gdyż nawet według uznania samych gazet amerykańskich, ani konferencja Genewa 2, ani początek likwidacji irańskiego dossier jądrowego, ani kontrola nad syryjską bronią masowego rażenia nie byłyby możliwe bez propozycji i ciężkiej pracy przygotowawczej ze strony Rosji. A reforma programów globalnej inwigilacji nie byłaby możliwa nawet w wersji skróconej bez demaskujących kroków ze strony Edwarda Snowdena. Wobec tego zasługi administracji Obamy mają charakter czysto wirtualny, czyli wymaginowany.

Obama zapowiedział również uregulowanie „problemu jądrowego” Iranu, poparcie dla demokracji na Ukrainie i dla umiarkowanej opozycji syryjskiej. Obiecywał również reformowanie NSA i zacieśnianie sojuszu z Europą: „Nasz sojusz z Europą pozostaje najbardziej ścisły z tych wszystkich, jakie pamięta świat. Od Tunezji do Birmy popieramy tych, którzy gotowi są do wykonywania trudnej pracy dla budowy demokracji. Na Ukrainie opowiadamy się za prawem do nieskrępowanego i pokojowego wyrażania własnej opinii i za posiadaniem prawa do głosu w decydowaniu o przyszłych losach kraju. Trzeba się przyznać, że w „kwestii ukraińskiej” chociażby zmieniono ton. Teraz administracja już nie wyraża bezwzględnego poparcia dla opozycji: chyba profaszystowskie, nacjonalistyczne dążenia jej trzonu stały się oczywiste również dla Waszyngtonu.”

Żadnego innego przemówienia prezydenckiego Biały Dom tak nie redaguje, cyzeluje, sprawdza i wypróbowuje tak starannie, jak orędy prezydenckich. Gdyby podstawę prezydentury tworzyły patos i krasomówstwo, to w przypadku Obamy można byłoby mieć spokój. Z punktu widzenia patetyczności i wykonania było to

prawdziwe arcydzieło. Jeśli rzecz jasna, nie brać pod uwagę faktów. A także takich drobiazgów, jak niewykonane obietnice.

Rankingi Obamy obecnie wahają się na poziomie 35-45 procent – jest to za daleko od całkowitej akceptacji w wielkości 83 procent w 2008 roku. W rankingu prezydentów USA w okresie powojennym – a opracowuje go regularnie służba Gallupa – Obama znajduje na jednej pozycji z Bushem-juniorem. Jego pracę zaakceptowało zaledwie 28 procent, natomiast Busha-juniora – 27.

Najbardziej zaskakujące jest to, że uratować prezydenturę Obamy mogą Republikanie w Kongresie. USA mają przed sobą ponowne wybory całego składu Kongresu i jednej trzeciej Senatu. Za ponownym wybraniem swych deputowanych, jak wynika z danych służby Gallupa, opowiada się tylko 17 procent Amerykanów. USA w całej swej historii nie pamiętają podobnego niezadowolenia z powodu parlamentarzystów.

W 2008 roku Obama miał szczęście, że jego poprzednikiem był republikanin Bush-junior oraz rywal zbyt stary dla wybrania na stanowisko prezydenckie senator John McCain. W 2012 roku Obama miał szczęście, że jego przeciwnikiem był Republikanin, milioner Mitt Romney. Amerykanie mieli problemy z wybraniem do Białego Domu multimilionera na tle konsekwencji drastycznego kryzysu finansowego z lat 2007-2008. Ciekawe jest, jak długo Obama będzie mógł ratować się z własnych opresji na podstawie niechęci Amerykanów do Kongresu?

Autor: Andriej Fiediaszyn

Źródło: [Głos Rosji](#)